



Agnieszka

Sudomir

Miasto Obiecane:

DOWÓD

LITERATE

AGNIESZKA SUDOMIR

DOWÓD

LITERATE

*If you tell me a lie I'll cry for you
Tell me of sin and I'll laugh
If you tell me of all the pain you've had
I'll never smile again*

*Everywhere there's rain my love
Everywhere there's fear*

Tim Buckley *Phantasmagoria in Two*

I.

Oddychaj, pamiętaj o oddychaniu. Jeszcze tylko pięć kilometrów. Sam chciałeś. Sam chciałeś. Sam chcesz.

Coraz gęstszy śnieg zakleja oczy, wdziera się do ust. Drzewa migają jedno po drugim jak na przyspieszonym filmie. Ale on na nie nawet nie spogląda. Patrzy w dal. W biel. Tam, gdzie jest meta. Bo przecież zawsze jest jakaś meta. W chwili jak ta świadomość końca podnosi na duchu. Inaczej niż w życiu. Dlatego bieganie jest od życia lepsze. W słuchawkach leci Disturbed.

Determination is a vital part of me

Surrender now or be counted

With the endless masses that I will defeat

Warrior – oto kim jest. Oto co określa całe jego jęstwo. Nikt nigdy nie będzie go liczył na macie. No dalej! Naprzód. Wokół cisza, upiorna, straszliwa, tylko te rytmiczne uderzenia stóp o podłoże. Raz, dwa, raz, dwa, raz... Ale on tego nie słyszy. Disturbed zagrzewa do boju, najgłośniejszy jak się da. Od takiej muzyki można ogłuchnąć, mówi matka. Co ona tam wie! Co oni wszyscy wiedzą! Pot, krew i łzy. Tylko to się liczy. Mięśnie palą żywym ogniem, skronie rozsadza pulsujący ból. Przed oczami mrok. Nie da rady, już nie. Kolejny krok, kolejny oddech.

Jeszcze jeden. Jeszcze. Jezu... nie dam rady. Wdech, wydech, wdech, wydech. Mrok wypełnia usta, powietrze wbija się z głośnym świstem do płuc. Nogi, gdzie są moje nogi? Kolana, gdzie są?

Szpila bólu w prawej kostce i leci w dół niczym bezwładna kukła. Zaciska powieki. Czuje szorstkie zimno na zmianę z zimnem po prostu. Wpada w krzaki, szarpnięcie, słuchawki zostają, on leci dalej. Mocne uderzenie i gwałtownie się zatrzymuje. Cisza. Spokój. Żyje? Ciężki oddech mówi, że tak. Jak dobrze. Jak cudownie. Nareszcie nie musi biec. Leży z twarzą w świeżym śniegu i myśli. Nie, coś myśli za niego i szepcze mu do ucha: cienias, pizda, leszcz. Ci, którzy leżą, nie wygrywają. Zasnąć, choć na chwilę odpłynąć, nie czuć bólu. Gdzie on jest, ten ból? Nie wie. Nie potrafi go zlokalizować. Boże, na moment się wyłączyć, odpocząć. Głos nadal szepcze: nawet nie próbuj. Wstawaj, ale już!

Nie ma siły. Nie ma nóg, ramion, głowy nie ma. Tylko ten koszmarny ból, teraz wyraźnie w prawej kostce. Serce ściska się w kamień. Na granicy zawału – tak chyba nazywają to lekarze. Granica. Koniec. Finito. Ale co, jeśli trzeba ją przekroczyć? A trzeba. Ci, którzy nie przekraczają granic, nie stoją na podium. Jezu... podium, czy to takie ważne? A nie? A nie?! Łapie hausty powietrza zachłannie, nerwowo, jak zdychająca ryba. Tym jest – zdechłą rybą, cieniase. Jeśli tak dalej pójdzie, nigdy nie wygra. Nigdy. Trzeci ultramaraton za nim. I trzeci raz siódme miejsce. Mistrz, kurwa, siódmych miejsc.

Ostrożnie przewraca się na plecy. Mokry śnieg klei się do twarzy. Kropelki spływają po policzkach i szyi. Łzy? Nie, to tylko woda. Kto się maże, nie wygrywa. Poświęcił temu całe życie, całe pieprzone życie biega. Właściwie nie robi nic innego. Żeby w końcu poczuć ciężar złota na szyi. Kacper Turkacz, Pan Wiecznie Siódmy, teraz

leży w śniegu i obserwuje łyse, przypudrowane lśniącem puchem korony drzew. Ślicznie wyglądają na tle szarego nieba. Boże, jak tu pięknie. Poleży tylko chwilę, jedną minutkę. Popatrzy sobie na ten cudny świat. Bieganie przecież nie ucieknie. Wreszcie unosi głowę, powoli siada, masuje zeszywniały kark. Żywy ogień pali mięśnie ud, na języku rozplywa się słony smak. Jednak łyzy – ściekają z brody i zamarzają na gęstym zaroście. Widzi swoje buty, najlepszy model na rynku. Teraz te wypasione buty za kupę hajsu na bezradnie rozrzuconych nogach. Przykry obrazek. Opuszcza skarpetę, ostrożnie zadziera legginsy. Kostka puchnie w oczach. Tylko nie to, tylko, kurwa, nie to! Jutro miał ćwiczyć z uprzężą i oponami. Rękawem ociera smarki i – już spokojniej – bada stopę. Skręcenie jak nic. Szlag trafił zawody. Nie wyleczy tego, nie zdąży, a nawet jeśli, i tak po treningach, po wszystkim.

– Kurwa mać! – krzyczy na całe gardło. – Kurrrrrwa! – powtarza jeszcze głośniejszym głosem, a echo odpowiada: urwa, rwa, wa...

Zimą o zmierzchu w lesie nie ma nikogo. Może krzyknąć do woli, drzeć się, wypływać z siebie najgorsze słowa, jakie zna ludzkość, nawet płakać może. Ale nie, płakać nie będzie.

– Ja pierdołę!

Erdolę, dolę, lę... – odpowiada echo.

Kacper z trudem staje na jednej nodze i wspiera się ramieniem o pień. Ostrożnie stawia prawą stopę w śniegu. Boli jak diabli, ale na pewno nie jest złamana. *Może nie będzie tak źle?* – myśli. Na pewno nie będzie. Mocniej wbija stopę w biały puch. Tak bardzo chce ustać, ale nie. Znów świat ucieka sprzed oczu, a on w ostatniej chwili łapie się jakiejś gałęzi. Gałąź pęka z suchym trzaskiem. I znów: Kacper leci jak szmaciana lalka na bobslejowym torze. Odruchowo chwyta mijane po drodze krzewy. Na nic.

Oblodzone gałęzie wyslizgują się z mokrych rękawic. Zjeżdża na brzuchu. Teraz już tylko chroni głowę. Nic innego nie może zrobić. Trafia na jakiś kamień, jego ciało zmienia kierunek i powoli wytraca prędkość. Znów cisza. Znów spokój. Ostrze bólu wbija się mocniej w kostkę. Dobrze. Skoro go boli, to żyje. Chyba. Ostrożnie unosi powieki i widzi lód. Reszta ciała na szczęście spoczywa bezpiecznie na brzegu. *Jezu... niewiele brakowało* – znów coś myśli za niego. Naprawdę niewiele. Zamyka oczy i próbuje się uspokoić. *Co za dzień* – przemyka mu przez głowę – *lepiej było w ogóle z łóżka nie wychodzić*. Nagle ogarnia go wesołość. Ze stresu, ze zmęczenia. Kiepska forma, kontuzja, o mało nie zaliczył kąpieli w stawie. Co jeszcze go dziś spotka? Już widzi ten wpis na Instagramie: Kacper Turkacz, ultramaratonista, ćwiczy jak szatan, nie cofa się nawet przed zimowym treningiem pływackim w Arturówku! I kto tu jest mistrzem? No kto?! Dzięki ci, Panie Boże, za ten mróz. Gdyby nie to, mógłby pogadać sobie z rybkami w ich naturalnym środowisku. Chichocze nerwowo, rozdmuchując biały puch. Patrzy w lód. I w czyjeś szeroko otwarte oczy. Głupie złudzenie. Wyciąga dłoń i oczyszcza gładką, zimną powierzchnię. Biała maska unosi się tuż pod nią. Trochę przypomina tę rybę, co ją można nadmuchać. Albo świński pęcherz z oczami. Kacper nie ma pojęcia, jak wygląda świński pęcherz, ale pewnie jakoś tak. Martwo. Jak upiorna gęba, którą od twarzy Kacpra oddziela jedynie przejrzysta tafla.

2.

– Chyba mówiłem.

Jakieś, kuźwa, trzy razy – dodał w myślach. Nie zamierzał przedłużać tego uroczego spotkania.

– Wiem. – Kosa poprawiła się na krzesło i wbiła w niego lodowaty wzrok.

– Po chuj mam w kółko wszystko powtarzać? – nie wytrzymał i zaraz pożałował. To ją tylko zachęci. Tyle już o niej wiedział.

– Ej, bez takich, Igor. – Mazur posłał mu groźne spojrzenie.

Rycerzyk się, kurwa, znalazł.

– Dobra, sorry.

– Proszę się nie zapominać.

Musiła dodać swoje trzy grosze. No przecież! Chyba by ją cipa pół dnia swędziało, gdyby coś przemilczała. Blattner siedział u Kosy trzecią godzinę i naprawdę miał dość. Najpierw zeznania, potem kolejne zeznania, i znowu, a na koniec kanonada podchwytliwych pytań. Nie pierwszy raz użył broni, nie pierwszy raz przechodził tę procedurę, ale po raz pierwszy czuł się jak przestępca. I to taki pozbawiony wszelkich praw. Co tu się wyrabia? Nie mógł wyjść ze zdumienia.

– Od czego mam zacząć? – westchnął.

– Od początku. – Głos Kosy przeciął powietrze niczym rzeźnicki nóż.

– Wstałem rano, zjadłem kanapkę z szynką, potem poszedłem do łazienki, gdzie... Mówić ze szczegółami?

– Panie komisarzu, marnuje pan nasz czas. Mamy ciężko rannego człowieka, proszę zachować powagę stosowną do sytuacji. – Nie dała się zbić z tropu.

– Czyli co? W skrócie opowiedzieć?

– Jeśli łaska. – Wydęła z ironią usta.

– Dobra. No to tak. Goniliśmy uzbrojonego bandziora, który spierdalał furgonetką i nie zamierzał dać się złapać. Szajbus jechał Rokicińską, a potem skręcił w Augustów. Wyczekałem, aż się na drodze rozluźni, i posłałem mu kulkę w gumę.

– W które koło?

– Prawe tylne.

– I?

– Trochę nim rzuciło i spierdalał dalej. Na kapciu.

– W jakim kierunku?

– No w tym, co jechał.

– I co pan wtedy zrobił?

– Kiedy go dogoniliśmy, posłałem furgonetce drugą kulkę.

– W stronę kierowcy?

– W koło. Lewe przednie.

– Czyli w stronę kierowcy?

– Czyli w koło.

– Od strony kierowcy?

Milczał. Czuł, że jeszcze jedno pytanie i eksploduje. Wziął głęboki oddech i zacisnął mocno szczęki. Nie, nie da się babie sprowokować. Mowy nie ma!

– Tak, od strony kierowcy.

– Czy wydał pan ustne ostrzeżenie?

– Jasne.

W samochodzie? Podczas pościgu? Chyba musiałby ryczeć przez megafon, którego akurat na wyposażeniu opla nie było. *Przepisy to przepisy, walić sens* – skrzywił się. Nie miał pojęcia, czy coś krzyknął, czy nie. Ale wołał o tym nie wspominać.

– Głośno i wyraźnie?

– Nie inaczej.

– Strzały ostrzegawcze były?

– Ma się rozumieć.

Tego akurat był pewny. Przez lata służby miał wbudowany odpowiedni odruch.

– Adwokat poszkodowanego twierdzi co innego.

Wzruszył ramionami.

– Jak pan się odniesie do zarzutu złamania procedur?

– Nijak.

– Słucham?

– A co pani nadkomisarz chciałaby usłyszeć?

– Prawdę.

– Już mówiłem.

– Znając pana lekceważący stosunek do regulaminów, nieco w tę prawdę wątpię.

– Pani problem.

– Obawiam się, że jednak pana. Zawieszam pana w obowiązkach do czasu wyjaśnienia sprawy.

Poszukał wzrokiem pomocy u Mazura, lecz ten zawięcie obserwował czubki swoich butów.

– To wszystko?

– Na dziś tak. Może pan odejść. Przed wyjściem proszę nie zapomnieć o zdaniu broni i odznaki.

Wstał i ruszył ku drzwiom. Poczucie niesprawiedliwości nie opuszczało go od początku tej farsy. Ale teraz nacisnęło jeszcze mocniej. O nie, tak to się nie skończy. Odwrócił się gwałtownie i wbił nieruchome spojrzenie

w chytrze zmrużone oczy przełożonej.

– Słuchaj, paniusiu... bo powiem to tylko raz – zaczął.

– Nie wiem, co do tej pory pani robiła, ale my tutaj łapiemy bandziorów. Bardzo groźnych. I tak to już jest, że czasem trzeba tańczyć, jak nam zagrają.

– Tańczyć? – nie zrozumiała, a raczej udała, że nie rozumie. Te jej podręcznikowe socjotechniki działały na niego jak płachta na byka.

– Grać w ich grę. Strzelać i się nie pierdolić. Nie wiem, jak jaśniej mam to szanownej pani nadkomisarz wytłumaczyć. Może gdyby pani choć raz wystawiła nos zza biurka, rozumiałaby pani wreszcie, na czym polega ta robota.

– To przesada... – Z satysfakcją odnotował, że głos jej nieco zadrżał. A jednak miała jakiś czuły punkt. – Nie jesteśmy na Dzikim Zachodzie – kontynuowała już zupełnie spokojnie. – Obowiązują nas procedury.

– I zostały dopełnione. A dobry szef nie szukałby dziury w całym.

– Cóż, mam taki obowiązek. Adwokat poszkodowanego...

– Papuga skurwiela, który przystawił gnata do głowy kasjerce w banku. I tak ją nastraszył, że kobita ledwie wyszła z zawału. A teraz, zamiast bawić się z dziećmiakami, będzie spędzała kurewsko długie godziny na kanapce u psychoterapeuty. O ile to wystarczy, bo bardzo możliwe, że z milej, młodej, pełnej życia żony i mamy, ufnej, wesołej babeczki, przeistoczy się w nafaszerowane lekami przerażone zombie. Nazywajmy rzeczy po imieniu.

– Być może, ale to nie zwalnia nas z przestrzegania praw podejrzanego. Jego adwokat...

– Gównu mnie obchodzi, co gada jego papuga i co on sam gada. Wszystkie procedury zostały zachowane. Koniec, kropka. Choć, jak dla mnie, bandzior zrezygnował ze swoich praw w chwili, kiedy postanowił obrobić ten

zasrany bank.

– Szczęśliwie nie pan o tym decyduje. – Uśmiechnęła się słodko.

Marzył, żeby w końcu ją porządnie wkurzyć, ale nic z tego. Dotychczas ta zimna suka zawsze z nim wygrywała.

– OK. Jak sobie chcesz, paniusiu... Tylko jedno ci powiem, długo tu nie wytrzymasz, jeśli nie wiesz, kto jest swój, a kto obcy. Tutaj takich nie lubią. I to bardzo. Musisz wybrać, po czyjej stronie jesteś. Taka moja rada. Nie dziękuj.

Wyszedł, trzaskając drzwiami. Najbardziej ubodło go zachowanie Mazura. Nie mógł uwierzyć, że ta chuda żmija tak przydepnęła starego, doświadczonego psa. Nie mógł uwierzyć, że wyfiokowana blondyna metr pięć w kapeluszu trzęsła całym wydziałem jak caryca Katarzyna swoim dworem. Nie mieściło mu się w głowie, że wszyscy poza nim pozwalali babie na takie zachowanie. Cała masa twardzieli z jajami jak balony truchtała wokół udzielnej księżnej niczym podjarane balem dwórki. *Co tu się, kurwa, wyrabia?* – zapytał sam siebie raz jeszcze. Nagle przyszło mu do głowy, że Zojka ma szczęście. A może to Kosa ma szczęście? Przełożona nie zniżała się do spotkań z szeregowym personelem. Ale kiedy opowiadał Zojce o spięciach z szefową, młoda zawsze brała jego stronę. Blattner nie miał wątpliwości, że gdyby Kosa trafiła na rudą, poląbały się krew. Dużo krwi. Ta wizja znacząco poprawiła mu humor. Przynajmniej nie był w swojej walce osamotniony.

Wpadł do pokoju ze szczerym zamiarem wylania wszystkich żali. Niestety, musiał się wstrzymać, bo Luka właśnie rozmawiał przez telefon.

– Nie, Irma... nie, tak nie będziemy gadać. No jak to jak? Wrzeszczysz na mnie, wydziczasz się. Nie jestem twoim chłopcem do bicia. Nie wiem... moje zdanie znasz i go nie zmienię. Rób, jak uważasz!

Zakończył połączenie i cisnął komórkę na biurko tak mocno, że aż odbiła się od blatu i spadła na podłogę. Łukasz nawet po nią nie sięgnął, tylko klapnął na krzesło z ciężkim westchnieniem.

– Jakiś problem? – zagał Blattner.

– Problem to, kurwa, mało powiedziane...

– Co jest?

– Irma zapisała się na jakąś jogę dla ciężarnych.

– To chyba dobrze?

– Nie no, dobrze. Tylko poznała tam takie laski, kompletne oszołomki, i one teraz ją urabiają na swoją modłę.

– Jaką modłę?

– Nie wiem, nie do końca kumam, o co w tym biega, ale to wyznawczyńie jakiegoś tam naturalnego rodzicielstwa bliskości czy coś.

– To chyba też nie takie straszne?

– Niby nie, tylko wiesz, one działają jak sekta.

– A co złego w rodzicielstwie bliskości? Nie znam się na tym, ale jak dla mnie brzmi w porządku.

– Widzisz, też myślałem, że nic... i spałem spokojnie. Aż do czasu, kiedy Irma oświadczyła, że będzie rodzic w domu. Szkoda, kurwa, że nie w lesie.

– Chyba trochę przesadzasz. Domowe porody kiedyś były normą.

– Jeżdżenie bryczką też. Nie chcę, Igor, żeby narażała małego i siebie.

– Hugona znaczy? – Blattner zachichotał na wspomnienie poprzedniej wojny przyszłych rodziców.

– Huga, nie Hugona. Zresztą, nieważne. Żaden Hugo ani tym bardziej Hugon z niego nie będzie! To już postanowione.

– Ty tak postanowiłeś?

– A ja! Żebyś wiedział! – Luka zrobił się purpurowy na twarzy.

– Dobra, dobra, nie nakręcaj się. Ale z całym szacunkiem, o tym porodzie to chyba nie ty akurat będziesz decydował?

– Igor, czegoś tu po prostu nie czają: dziecko moje, obowiązki moje, a nic do powiedzenia nie mam.

– O ile wiem, praw rodzicielskich nikt ci nie zabiera, to i głos masz.

– Teoretycznie, bo jak sam zauważyłeś, jeśli Irma zapragnie rodzić wśród swoich sióstr, na śniegu, to nijak jej tego nie zabronię. No chyba że przez sąd. A i to wątpliwe. Zresztą, przecież nie będę się z nią sądził. A z tym porodem... Jak wszystko pójdzie dobrze, to luz. Ale zagwarantujesz mi, że tak będzie? W szpitalu chociaż pomoc jest na miejscu. No i warunki inne.

– Co ci, Luka, doradzić? Słaby jestem w te klocki.

– No wiem, wiem, tak sobie złej krwi upuszczam.

– Musisz z nią na spokojnie pogadać. Może jej wysłuchaj? To ona ma w końcu przed sobą niezły *hardcore*. Jak jej łatwiej będzie w domu... Pewnie da się to jakoś sensownie zorganizować?

– Dobra, dosyć o tym, bo zanim młody na świat zawita, to ja wylewu dostanę. Lepiej powiedz, co tam u Kosy.

Blattner nie zdążył otworzyć ust, kiedy na jego biurku rozdzwonił się telefon.

– Pani nadkomisarz wzywa! – Usłyszał oschły głos Ireny i trzask słuchawki.

Ta to się nie pierdoli w tańcu – przemknęło mu przez głowę. *Ciekawe, jak układa się współpraca takich dwóch przemitych kobitek?*

Idąc korytarzem, zastanawiał się, co też tym razem szefowa wymyśliła. Spodziewał się potężnej zjebki. Nie miał już dziś siły na przepychanki z Kosą. Zapukał i posłusznie poczekał na zaproszenie. Była sama.

– Proszę usiąść. – Powitał go ochryply głos, zaskaku-

jąco uprzejmy.

Zrobił, co mu kazano, i przygotował się na nieuniknione przemówienie. Solennie sobie obiecał, że nie wyskoczy z jakimś krzywym tekstem. Tylko na tym tracił.

– Panie komisarzy, po naradzie z panem podinspektorem Mazurkiewiczem postanowiłam nie podejmować wobec pana środków dyscyplinujących w postaci czasowego zawieszenia. Oczywiście śledztwo wewnętrzne w sprawie nieuprawnionego użycia broni będzie się toczyło nadal, ale wskutek braków w personelu potrzebujemy każdych rąk do pracy. Pana też.

– Śledztwo w sprawie użycia broni w akcji – poprawił ją.

– Naturalnie – potwierdziła bez mrugnienia okiem. – Proszę teraz zebrać ludzi i jechać do Arturówka. Mamy tam niezidentyfikowane zwłoki. Prokurator już powiadomiony.

– Jakies szczegóły?

– Nic nie wiem.

– Rozumiem.

– Irena przekaze panu dokładną lokalizację.

Wstał z krzesła i przez chwilę nie miał pojęcia, jak się zachować. Nadal nie mógł uwierzyć, że odmówiła sobie pogadanki.

– To wszystko. – Uśmiechnęła się na widok jego skonsternowanej miny. Całkiem sympatycznie, co jeszcze bardziej zbiło Blattnera z tropu.

– Dziękuję. Odnośnie naszej poprzedniej rozmowy...

Nie, nie zamierzał przeproszać, jednak czuł, że przegiął. Może babka nie zasłużyła na tak ostre słowa, może mógł coś ująć inaczej?

– Nie ma sprawy. – Najwyraźniej uznała to za przeprosiny, co go wcale nie ucieszyło.

– Ale chciałbym...

– Panie komisarzy – przerwała mu. Była słodka jak miód. – Nie biorę do siebie fochów podwładnych. Ale

proszę ze mną nie walczyć, bo to się panu nie opłaci.
Taka moja rada. Gratis. – Pochyliła głowę i zatopiła nos
w papierach.

A jednak zmija – pomyślał i opuścił gabinet, wściekły,
że znów tak łatwo dał się podejść.

3.

Sylwester Tupała ostrożnie wystawił stopę z samochodu. Elegancki sztyblet z włoskiej skóry natychmiast zapadł się w śnieg. Od trzech godzin bez przerwy sypało, a prokurator nie planował dziś spacerów w lesie. *I po butach – przemknęło mu przez głowę. Na cholerę mnie tu właściwie ciągnęli? Pijaczyna utopił się w stawie i zaraz wielkie halo.* Podejrzewał, że sprawę dostał jakiś niedoświadczony pies. Doświadczony by wiedział, że Tupała nie przepada za wizytami w terenie. Zwłaszcza jeśli nie są konieczne. A ta z pewnością nie była. Mało to dziadów borowych umiera zimą? Do każdego zamierzają go wołać?

Trzasnął drzwiczkami od samochodu, szczelniej owinął szyję bordowym kaszmirowym szalem i ruszył przez chaszczę do miejsca, które wskazał jeden z policjantów. Zauważył, że to zwykły koleś z patrolu, co mu jeszcze bardziej podniosło ciśnienie. Zamiast spokojnie popijać przy kominku ulubione francuskie wino, musi brnąć przez zasrane zasy, podczas gdy tym gnojkom z wojewódzkiej nawet się nie chce dupy ruszyć. Już on sobie z nimi pogada, jak tylko łaskawie przywłoką tu swoje napęczniałe od piwiska brzuchy!

Dzień nie zaczął się dobrze i kiepsko się kończył. Naj-

pierw ta awantura z Adą. Naprawdę starał się być cierpliwy, ale zrobiła to o jeden raz za dużo. Choć nie miał w zwyczaju podnosić głosu, dziś nie wytrzymał. Zawsze kiedy wspominała o swoim byłym, odnosił nieprzyjemne wrażenie, że w łóżku jest ich troje. Wydawało mu się, że poprzednio jasno się wyraził. Widać nie dość jasno, skoro znowu popłynęła. Ledwie otworzył oczy, a już: Krzysztof to, Krzysztof tamto! Ile można? Świętego wyprowadziłoby z równowagi. Jako że Tupale do świętości było daleko, jego wyprowadziło dwa razy bardziej. No i powiedział, co powiedział. Może za ostro, może za dużo, jednak to nie daje Adzie prawa do bycia taką suką. Ciosy poniżej pasa to najwyraźniej jej specjalność – pokręcił głową na wspomnienie obrzydliwych rzeczy, jakie wygadywała. Cholera, miało być tak słodko, a wyszło jak zwykle. Ostatnio związek z Adą stawał się coraz trudniejszy. Ku swojemu zaskoczeniu tęsknił za żoną i całym ich poukładanym życiem, które do niedawna tak go śmiertelnie nudziło. Popełnił błąd, to pewne, jednak jeszcze nie był gotowy, by się do tego otwarcie przyznać. Nagle prokuratora opanowała szalona chęć powrotu do wygodnego domu w Zgierzcu, do własnego łóżka, własnego fotela, psa, kota i do codziennych rytuałów, jakie łączyły go z żoną od dwudziestu lat. *Ciekawe czy zmieniła zamki?* – pomyślał. Wciąż nosił swój komplet kluczy. Wystarczyło w drodze powrotnej skręcić we właściwą stronę i *voilà!* Miał przecucie, że z czasem jakoś by wszystko poukładali. Nie tak łatwo wykreślić dwie dekady wspólnego życia. A Ada, cóż, jest dużą dziewczynką i też pewnie czuje, że to jednak nie działa. Zakichany dzień – kłótnia, potem stłuczka, niby nic się nie stało, ale reflektor do wymiany, a na koniec jeszcze Radziejewski musiał się pochorować. Normalnie Tupala dawno by już grzał nogi przy wesoło trzaskającym ogniu. Choć tandetny kominek w wynajętym segmencie

nie umywał się do tego w Zgierzu i tak był o niebo lepszy niż brodzenie w cholernym śniegu.

Pobieżnie rzucił okiem na ciało. Tak jak myślał – jakiś żul. Pewnie popijał z kumplami w którymś z domków kempingowych, potem postanowił ruszyć na skrót do miasta. Każdej zimy kilku takich znajdowali. Pogadał chwilę z lekarzem, uzgodnił podstawowe fakty, w których nie było niczego ciekawego. Karetka odjechała, a on zastanawiał się właśnie nad sensem czekania na śledczych, kiedy znów usłyszał silnik samochodu. W samą porę! Przekaze temat glinom i może się zwijać. Jak dobrze pójdzie, zdąży jeszcze obejrzeć ze dwa odcinki *The Deuce*. Ada pewnie się naburmuszy i zniknie w sypialni, a on zazna wreszcie chwili spokoju. Ta myśl znacznie poprawiła mu humor.

- Komisarz Blattner, wojewódzka – usłyszał z oddali.
- Co tam macie?
- Szuwarek. Facet. Tyle wiemy.
- Na pewno martwy?
- Sztywny, panie komisarzu. Jak mój teść po imprezie.
- Rozległ się rechot.
- Lekarz jest?
- Był, stwierdził zgon i pojechał. Ponoć dzisiaj jakiś totalny zapieprz mają.
- Czyli dzień jak co dzień. Co mówił?
- Nie był wylewny. Tylko, że umarłak i że więcej w zakładzie medycyny powiedzą.
- A prokurator?
- Przy zwłokach, panie komisarzu.

Blattner przedarł się przez krzaki, w świetle reflektorów ujrzał czterech policjantów, a obok nich niewysoką sylwetkę w jasnym płaszczu. Co jest, u licha? Kogo tu przysłali? Był tak pewny, że spotka Radziejewskiego, że nawet o to nie spytał. Facet się odwrócił i wyciągnął

rękę na powitanie. Nie było rady, musiał ją uściskać.

– Komisarz Blattner, tak? Chyba jeszcze razem nie pracowaliśmy?

– Jakoś nie było okazji – odburknął.

– No to się cieszę ze spotkania.

– Aspirat Woźniak. – Wskazał na partnera.

– Witam. Tupała. – Prokurator tylko lekko skinął głową. – Sprawę poprowadzi docelowo Radziejewski. Grypa go dopadła, więc jestem tu w zastępstwie. Ale nie ma tego złego... Miło mi bliżej poznać legendę wydziału dochodzeniowo-śledczego. – Na szczerzej mordce w designerskich okularach wykwitł szeroki uśmiech.

– To gdzie nasz mors? – Blattner zignorował ostatnią uwagę i zwrócił się do policjanta o puciołowatej, dziecinnej twarzy.

Nie mógł wprost uwierzyć, że właśnie uściskał rękę Tupały, tę samą, która pewnie nie raz, nie dwa lubieżnie obmacywała Adę.

– Mors? – nie zrozumiał młody.

– No amator zimowych kąpieeli.

– A! Tutaj! – Policjant wskazał ciało.

Blattner podszedł bliżej, przyklęknął i uważnie obejrzał trupa. To nie któryś z tych działkowych pijaczków, tego był pewien. Porządne ciuchy, drogi zegarek oraz idealnie zadbane zęby – te fakty bezsprzecznie wskazywały, że to ktoś z innej półki. Na pierwszy rzut oka nie widać było żadnych obrażeń, co jednak o niczym nie świadczyło.

– Kto go znalazł?

– Jakiś biegacz. Siedzi w aucie.

– OK. Sztywny jest wasz – zwrócił się do techników. – Luka! – przywołał partnera. – Wiesz, co robić. Po wszystkim dajemy klienta na autopsję. A ja pogadam z biegaczem. – Ruszył w kierunku samochodów.

Przed oczami miał ciągle ten cholerny uśmieszek.

Szyderczy, czy tylko mu się zdawało? Czy Ada opowiedziała nowemu kochankowi łzawą historię frajera, którego puściła w trąbę? Miał szczerą nadzieję, że aż tak głupia nie była, ale kto ją tam wie. Krew uderzyła mu do głowy na samą myśl o tym, że Tupała być może ma teraz niezły ubaw. Już widział jak fagas wraca do domu i woła od progu: Skarbie, uścisnąłem dzisiaj dłoń twojego byłego kochanka! Facet wygląda jak kupa gówna. Doprawdy, nie wiem, co ty w nim widziałaś. Ja też nie wiem – Ada unosi lekko ramiona, a potem oboje zaśmiewają się do łez, popijając wykwintnego szampana z kryształowych kieliszków. Kurtyna.

Kurtyna, no właśnie, musi spuścić na to wszystko kurtynę. Raz na zawsze. I zająć się pracą. Praca to najlepszy ratunek przed samym sobą. Policyjny nos mu podpowiadał, że z dzisiejszego szuwarka będzie sprawa. I świetnie – jest robota, jest życie, normalne, prawdziwe, a nie...

4.

– Myślałem, że jesteś chory? – zdziwił się, kiedy Radziejewski zaproponował obiad na mieście.

– Nieee. Trochę naściemniałem, bo musiałem na cito do Sopotu jechać.

– Oj... jakiś problem?

– Ciągłe ten sam.

– Rozumiem. To gdzie się widzimy?

– Po wczorajszych emocjach zjadłbym jakiś solidny kawał mięcha. Może w „Arizonie”? Dobrze karmią.

– Nie byłem, ale wierzę na słowo. To co? Za godzinę?

– Pasuje.

Radziejewski rozejrzał się po knajpie. Bezpretensjonalny amerykański steakhouse bardzo mu odpowiadał. Choć nadal z łezką w oku wspominał schabowe z baru przy Struga, wolał jednak nowe czasy. Stare miały sentymentalny urok minionej młodości, lecz tylko tyle. Nie zamieniłby przytulnej „Arizony” na wykafelkowaną salę z metalowymi blatami, która przywodziła na myśl prosektorium. Nie rozumiał, czemu syn chce odrzucić dobrodziejstwa cywilizacji dla afrykańskiej lepianki. Kiedy sam był w jego wieku, wiele by dał, żeby żyć w takiej Polsce jak

teraz. Może nie była idealna, ale młodemu przecież tu niczego nie brakowało. *Ech... kto za tymi główniarzami trafi?* – westchnął w duchu.

– Cześć, stary! – Przykre rozważania przerwał mu głos Blattnera.

Nie widzieli się parę tygodni. Radziejewski od razu zauważył, że kumpel wygląda zdecydowanie lepiej niż ostatnio.

– Dobrze wyglądasz – wypowiedział swoją ostatnią myśl.

– No dzięki, chłopie. Jakoś się trzymam.

– Ćwiczysz trochę?

– Bez obijania.

– Zazdroszczę. Ja się jakoś nie mogę zmusić.

– Fajki rzucić, to dobry początek.

– O proszę... jaki mądry się znalazł.

– Fajki to zło, stary. Wiem, co mówię.

– Spokojnie, nie będę ci dymił przy obiedzie. Teraz już nigdzie nie wolno palić. Masakra jakaś.

– Mnie tam pasuje.

– Nie na darmo mówi się, że najgorsi są neofici.

– Co prawda, to prawda.

Roześmiali się głośno, czym zwrócili uwagę młodziutkiej kelnerki. Blattner nie byłby sobą, gdyby mimowolnie nie dostrzegł jej seksownej południowej urody.

– Nie gap się tak, bo wyjdiesz na pedofila. – Wiktor pogroził mu palcem.

– No co ty? – obruszył się komisarz, trochę zbyt gorliwie.

Sam czuł, że dla lalek w tym wieku jest zmurszałym dziadem. A najgorsze, że lepiej już nie będzie. Jedyne, co mógł zrobić, to zachować w smętnej jesieni życia odrobinę godności i nie zostać obleśnym staruchem, oblizującym się na widok zakwitających dziewcząt. Chwytał menu i zaczął je z uwagą studiować z lęku, że kumpel wyczyta w jego

oczach wszystkie obawy, które nie opuszczały Blattnera od paru miesięcy. *Obawy* – pomyślał z ironią. *Nawet we własnej głowie próbuję to jakoś złagodzić.* W rzeczywistości czuł paraliżujący strach – przed starością, chorobą, niedołężnością. Przed dniem, w którym nie będzie już umiał sam o siebie zadbać. Właściwie historia z Adą była ostatnim momentem, kiedy nie myślał o upływie czasu. Dlatego pewnie ludzie tak lubią stan zakochania – wygrywa ze świadomością nieuchronnej śmierci i tych wszystkich paśkudnych rzeczy, jakie człowieka zazwyczaj czekają, zanim ta nadejdzie. Pewną pociechą dla Blattnera był jego glock. Zawsze w chwilach ponurych refleksji dodawał mu otuchy.

Kiedy kelnerka znów podeszła, Blattner nawet na nią nie zerknął. Zamówili po solidnym steku i na szczęście Radziejewski przeszedł do przyjemniejszych rzeczy.

– I co z tym szuwarkiem? Wypadek?

– Trudno powiedzieć. Zobaczymy po autopsji.

– Ale coś cię gryzie, prawda?

– Tak jakby. Drogie ciuchy, luksusowy zegarek... i nikt niczego nie skroił? A portfela i komórki brak.

– No to w czym sprawa? Bo nie kumam. Wpadł do wody i utonął. Komórka i portfel pewnie poszły na dno. Przy tej pogodzie: szukaj wiatru w polu.

– W pobliżu nie było żadnego samochodu. Facet przyszedł tam pieszo?

– Nie wiem, może balował z kumplami, a kiedy zdarzył się wypadek, zdreśli i uciekli.

– Możliwe. Nieudzielenie pomocy to też przestępstwo.

– Znaleźliście ślady opon? Inne?

– Jeśli coś tam było, wszystko zasypało. Nawet nie wiemy, gdzie dokładnie koleś wpadł do tej wody. Na drodze dojazdowej są jakieś ślady, niestety porozjeżdżane. Co najmniej kilka samochodów. Chłopaki jeszcze pracują, ale na moje oko niczego z tego nie wyciągniemy.

– Czyli czekamy na raport patologa.

– No właśnie.

– A jak Tupała?

– Powiedzmy, że nadmiernie się nie angażował.

– Czyli nie przeszkadzał? Tak myślałem. Wiesz, on teraz ma chyba sporo na głowie. Jedna baba to już kłopot, a co dopiero dwie. – Wiktor puścił oczko.

Blattnerowi zrobiło się niedobrze na samo wspomnienie oślizgłej dłoni Tupały. Odsunął na bok talerz z mięsem. Nie był w stanie przełknąć już ani kęsa.

– Nie smakuje ci? Jak dla mnie zarąbisty jest ten stek – zrecenzował danie Radziejewski, ze smakiem pochłaniając wielki kawał wołowiny.

– Niezły, prawda.

– To czemu nie jesz? Kiedy się ćwiczysz, trzeba jeść.

– Jakoś nie mam apetytu. A jak tam w Sopocie? Coś nowego? – zmienił temat Blattner. Wolał się zagłębiać w stan własnego ducha.

– Daj spokój, teraz to się dopiero porypało. Młody nie chce mnie znać.

– O! A czym mu podpadłeś?

– Wdrożyłem swój, kurwa, genialny plan.

– Ten z dziewczyną? Poprosiłeś jego byłą, żeby z nim pogadała?

– Głupie to było, wiem, ostrzegałeś. Ale zrozum... desperacja.

– Obraził się?

– Żeby tylko obraził! Nawtykał mi od najgorszych. Aż w końcu i mnie puściły nerwy. I tak, od słowa do słowa, wyszła z tego taka draka, że Hanka policzyła mi zagrożiła.

– Bo nakrzyczałeś na syna?

– Nie całkiem. Ten jej gach, Ferdynand Wspaniały, psia jego mać... wciął się między wódkę i zakąskę, chociaż prosiłem trzy razy padalca, żeby się nie wtrącał. Ale

nie, musiał swój pacyfistyczny wykład dać. Tak mnie tym wnerwił, że go za kapotę chwyciłem.

– Spuściłeś mu łomot?

– Oj tam, zaraz łomot. Trochę do ściany faceta docisnąłem, żeby zrozumiał. Nie staje się między ojcem i synem, nie? Na tym pewnie by się skończyło, bo Hanka z tą popieprzoną córunią pana guru taki lament podniosły, jakbym mu łeb ukręcił. Już miałem odpuścić, kiedy gnój postanowił mi zrobić psychoanalizę. Że niby z agresją sobie nie radzę i tak dalej. No i mnie wkurwił na dobre.

– Oberwał?

– Aż taki narwany nie jestem. Puściłem gacha, tylko po drodze do wyjścia przyjechałem z buta w szafę tak, że aż drzwi wypadły. Chciałem to pozbierać, naprawić, ale Hanka zaczęła mnie policją straszyć, a Piotrek kazał mi wypierdalać. Rozumiesz? Mój własny syn, z mojego własnego domu... Bo na papierze to ciągle moja chałupa przecież jest. – Radziejewski pokręcił z niedowierzaniem głową.

– Czasem tak bywa, że sprawy wymykają się spod kontroli.

Blattner wiedział, że jest ostatnią osobą, która ma prawo oceniać Wiktora. W jego pamięci wciąż tkwiło niczym zadra za paznokciem jeszcze świeże wspomnienie koszmarnej pijackiej nocy, podczas której zdemolował pół chałupy.

– Ano bywa. Ale Igor, powiedz tak szczerze... Czy ja kiedykolwiek chciałem dla Piotrka źle? Przecież z miłości do tego gówniarza wszystko robię.

– Kiedyś to doceni.

– Albo i nie – westchnął gorzko Radziejewski i przecesał dłonią czarne, nieco przydługie włosy. – Nie wiem, stary, co ja mam teraz z tym...

– Wiktor, nie jestem dobrym doradcą, ale jak pytasz,

to ci powiem: odpuść. Na razie odpuść.

– Wtedy on pojedzie do tej Afryki. Mam mu pozwolić?

– Jest dorosły, i tak zrobi, co zechce. A jak będziesz świrował i naciskał, stracisz syna.

– Cholera, Igor, czemu życie musi być takie powalone? Najpierw Hanka mi numer wywinęła, teraz Piotrek. Najgorsza jest bezsilność. Tego stanu nie ciepę ponad wszystko.

– Kto lubi? Wiesz co? Zajmij się robotą, może dupę jakąś sobie znajdź? To pomaga.

– Dupy nie wchodzą w grę. Nie mój styl. Poza tym musiałbym najpierw zakończyć stare tematy.

– Przecież jesteś po rozwodzie.

– Rozwód uczuć nie zmienia.

– Myślałem, że jej nienawidzisz.

– Nienawidzę i nadal Kocham. Posrane, nie? Więc wiesz, na nowe historie nie jestem gotowy.

– To zostaje ci praca. – Blattner wzruszył ramionami.

– Amen. Skoro już przy pracy jesteśmy, jak tam identyfikacja szuwarka? Macie jakiś trop?

– Zojka sprawdza zgłoszenia. Od tego zaczęliśmy, potem się zobaczy.

– Daj znać, jak coś znajdziecie.

– Jasne.

Zamówili jeszcze po kawie i poprosili o rachunek. W „Arizonie” robiło się coraz gęściej od gości. Łódź i tutaj przeczyła sama sobie. Niby niezbyt bogata, niby ludzie żyli tu często od pierwszego do pierwszego, a knajpy pełne. Blattner nie do końca to rozumiał, ale już dawno przestał zwracać sobie głowę próbami uchwycenia jakiejś prawdziwości w jego mieście. Najwyraźniej miało własną logikę, póki ta działała, nie było się czym zamartwiać.

– Wracając do Tupaczy... – z rozmyślań wyrwał go ściszony głos Wiktora – to powiem ci, że chyba jakiegoś kło-

poty w raju. Struty chodzi, błady taki. W firmie idą zakłady, czy go ślubna z kasy oskubała, czy nowa daje mu popalić – zarechotał zjadliwie.

Widać i on nie przepadał za tym wystrojonym dupkiem, co akurat Blattnera cieszyło. Mniej natomiast go cieszyło ciągle przypominanie mu o Adzie i o tym, jakim sam okazał się frajerem.

– Lecę, Wiktor. – Rzucił na stół parę banknotów i zerwał się jak oparzony, czym wzbudził nieukrywane zdumienie prokuratora.

Musi być bardziej ostrożny, nie reagować tak nerwowo – pouczył się. Radziejewski jest bystry i jak tak dalej pójdzie, w końcu załapie, o co w tym całym galimatiasie biega. Lubił faceta, ufał mu, ale akurat z tego nie zamierzał się zwierzać, zwłaszcza komuś, kogo przewrotny los postawił po drugiej stronie barykady. Blattner nadal nie mógł uwierzyć w swoją głupotę. Prywatnie miał nudne, spokojne życie, co przecież bardzo mu odpowiadało. Chwila słabości, jedna durna decyzja, jeden zły ruch i od tej pory codziennie stąpał po polu minowym. Walczył na przemian: z sumieniem i ze strachem. Skrzywdził innych, skrzywdził siebie. Z uczciwego twardego gliny stał się zwykłym, wydymanym przez Adę gnojkiem. I to na własną prośbę.

OŚWIADCZENIE

Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci i zdarzeń jest przypadkowe.

W powieści wykorzystano fragmenty tekstów piosenek:

Phantasmagoria in Two Tima Buckleya

Warrior Disturbed

The Greatest Cat Power

PODZIĘKOWANIA

Kiedy zaczynałam pisać *Fazę REM*, nie wiedziałam, czy ją dokończę, czy zostanie wydana. I nawet nie marzyłam, że czytelnicy tak polubią komisarza Blattnera. W pierwszej kolejności dziękuję więc wszystkim, którzy zechcieli poświęcić swój czas moim książkom. Mam nadzieję, że dostarczyłam wam dobrej rozrywki, a może też paru powodów do refleksji. Jeśli tak, lata spędzone z Blattnerem, Luką, Radziejewskim i Zojką nie są dla mnie stracone.

Oczywiście nigdy nie znalazłabym się tu, gdzie jestem, gdyby nie moi najbliżsi. Mario, Darku – nie wiem, jak się odwdzięczę za wasze wsparcie i cierpliwość. Może kolejną powieścią?

Niczym jest pisanie bez tych, którzy pozwalają autorowi dotrzeć do czytelników. Jak już wielokrotnie wspominałam – publikowanie to praca zespołowa. Ukłony należą się Marcinowi Dobkowskiemu i całej ekipie wydawnictwa Literate – bez was nie byłoby tej pięknej przygody.

Szczególne wyrazy wdzięczności kieruję do mojej redaktorki Bożeny Kurzydłowskiej, która pracowała ze mną nad każdym z tomów *Miasta obiecanego*. Nikt nie zna Blattnera tak dobrze jak ty.

Wielokrotnie zasięgałam też porad ekspertów. Serdeczne podziękowania dla Błażeja Wiczorka za konsultacje dotyczące broni, zaś dla Sławka Małoickiego – za uwagi do tekstu. Moc ciepłych myśli przesyłam także zaprzyjaźnionym lekarzom i policjantom. Wspaniale, że zechcieliście podzielić się swoją wiedzą, obserwacjami, a nawet gotowymi historiami. Ale przede wszystkim dziękuję za to, że o nas dbacie, często kosztem własnego zdrowia i życia. Jak to mówią: szacun, jesteście wielcy.

Nie uda mi się w krótkiej notce wymienić z imienia i nazwiska wszystkich, którzy swoją życzliwością przyczynili się do powstania cyklu z komisarzem Blattnerem, jednak bądźcie pewni, że każdy dobry gest i słowo na zawsze pozostaną w mojej pamięci. Te cztery tomy są również waszą zasługą.

Pora zostawić za sobą *Miasto obiecane*, ale każdy koniec to również początek. Zatem mówię wam: do zobaczenia. Liczę, że spotkamy się na kartach kolejnej powieści.

Dowód

Copyright © Agnieszka Sudomir

Copyright © Wydawnictwo Literate

Copyright © MORGANA Katarzyna Wolszczak

Copyright © for the cover by Ewelina Nawara

Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.

Wydanie pierwsze, Bydgoszcz, 2024

książka ISBN 978-83-7995-717-0

ebook ISBN 978-83-7995-718-7

Redaktor prowadzący: Marcin A. Dobkowski

Redakcja: Bożena Kurzydłowska

Korekta: Joanna Błakita

Projekt i adiustacja autorska wydania: Marcin A. Dobkowski

Projekt okładki: Ewelina Nawara

Skład i typografia: www.proAutor.pl

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

MORGANA Katarzyna Wolszczak

ul. Kormoranów 126/31

85-453 Bydgoszcz

sekretariat@literate.pl

www.literate.pl

Książka najtaniej dostępna w księgarni **www.MadBooks.pl**